

The background of the image is a vibrant cosmic scene. It features a large, swirling nebula in shades of purple, blue, and green, filling most of the frame. In the lower-left corner, a bright, glowing blue arc represents the horizon of a planet, with a thin layer of white atmosphere visible just above it. The overall lighting is ethereal and deep, typical of outer space imagery.

Janusz Szablicki

DLA KAŻDEGO
INNY RAJ

Janusz Szablicki

DLA KAŻDEGO
INNY RAJ

© Copyright by
Janusz Szablicki & e-bookowo
Projekt okładki: e-bookowo

ISBN 978-83-7859-576-2

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie II 2015

[Kup książkę](#)

Spis treści

Od Redakcji	5
MISJA	6
ALTERNATYWA	79
ZAWSZE BĘDZIESZ SOBĄ	120
REKOMPENSATA	142
DLA KAŻDEGO INNY RAJ	151

Od Redakcji

Zbiór pięciu opowiadań fantastyczno–naukowych wydany po raz pierwszy w 1984 r. przez Wydawnictwo „Śląsk”. Obecnie prezentowana elektroniczna wersja została poddana przez autora niewielkiej autorskiej korekcie.

W pierwszym opowiadaniu, MISJA, głównemu bohaterowi zostaje powierzona misja rozeznania, czy społeczeństwo egzystujące w jednym z odległych gwiazdnych systemów, które właśnie zwróciło się do Federacji z prośbą o przyjęcie go do grona jej członków, spełnia niezbędne po temu warunki. Po powrocie z misji nasz bohater składa stosowne sprawozdanie. Jednak pomimo pozytywnego charakteru tegoż czynniki decyzyjne Federacji uznają, że Federacja może się doskonale obejść bez owego nowego członka. Może na tego rodzaju decyzji zaważyła osobliwa z ziemskiego punktu widzenia forma pojmowania istoty demokracji prezentowana przez ubiegających się o członkostwo?!

Akcje pozostałych czterech opowiadań rozgrywają się zarówno na naszej starej, pocziwej Ziemi, jak i w odległym kosmosie..

MISJA

Świadomość powracała szybko, niczym woda do wysuszonej na wiór gąbki. Zanim jednak na dobre doszedłem do siebie, przez ładnych parę sekund doznawałem wielce niesympatycznego uczucia, że jakaś w równym stopniu potężna, jak okrutna siła rozszarpuje bezlitośnie każdy mój mięsień z osobna, wygina kości na wszelkie możliwe i zgoła nieprawdopodobne sposoby, nadziewa oczy na tysiąc szpikulców.

Wprawdzie nie po raz pierwszy w moim życiu gościłem w kabinie odbiorczej transformera, lecz tego rodzaju impresje były mi jak dotąd – na szczęście! – najzupełniej obce.

Nie był to jednakże najbardziej odpowiedni moment do dokonywania analizy tego stanu rzeczy, szczegółowego zgłębiania jego genezy, a zwłaszcza – roztkliwiania się nad sobą: obecnie całą uwagę należało bezwzględnie ześrodkować na czymś zupełnie innym. Zacząłem ostrożnie, wolniuteńko otwierać oczy. Wokół mnie zwierały się śnieżnobiałe ściany kojarzące mi się nieodparcie z absolutną sterylnością. Kropka w kropkę takie, jak w kabinie nadawczej. Był jednak pewien drobny szczegół, który je od tamtych odróżniał: ich nieskazitelną biel mącił tutaj mianowicie bioindykator tkwiący na wprost mojej twarzy. Prychał regularnie, w rytmie dwusekundowym, jaskrawą, agresywną czerwienią, rozpędzając chwilami do niewyobrażalnych prędkości ogromne kręgi, które zdawały się toczyć nie w moich żrenicach, lecz gdzieś na zewnątrz, wokół mej głowy.

Uśmiechnąłem się. To znaczy, by być w zgodzie z pra-

dą, chciałem to uczynić, lecz niewiele z tego jednak wyszło, twarz moja nadal była bowiem sztywna, nieruchoma, niczym maska byle jak wystrugana z drewna. Indykator prychał, a więc całą tę operację międzygwiazdnej transmisji z całą pewnością miałem już za sobą. I to, co najważniejsze, operację uwieńczoną według wszelkiego prawdopodobieństwa pełnym sukcesem!

Rozluźniłem się; westchnienie bezmiernej ulgi zakołysało moją obleczoną w transmisyjny skafander piersią. Naturalnie nie chodziło o brak zaufania do aparatury: wszak doskonale wiedziałem, z jakim pietyzmem ją hołubią technicy z Obsługi Transmisji, ile troskliwej, iście matczynej uwagi poświęcają każdemu jej, nawet najmniej ważnemu – o ile, rzecz jasna, w ogóle było można którykolwiek z nich w ten sposób określić! – elementowi. Chodziło po prostu o to, że raptem stanęła mi przed oczyma twarz profesora Jańskiego i ów wieloznaczny, wielce niepokojący błysk triumfu w jego źrenicach.

Fotel, w którym obecnie tkwiłem odchylony głęboko do tyłu, przypominał w najogólniejszych zarysach zwykłe diagnostyczne krzesło. Moja prawa dłoń spoczywająca bezwładnie, niczym coś zupełnie obcego w stosunku do całej reszty mojej osoby, na dość szerokim, z lekka zakłęśniętym bocznym oparciu nieomal stykała się za pośrednictwem serdecznego palca z przyciskiem kasacyjnym. Mając już po dziurki w nosie owej zwariowanej karuzeli, której za oś zdawał się służyć jakiś bliżej nieokreślony punkt we wnętrzu mojej czaszki, napiąłem mięśnie i przesunąłem dłoń tak, że całkiem pokryła chłodnąwą, gładką, przyjemną w dotyku główkę dość dużego przycisku. Bioindykator momentalnie zamarł; tylko owe ogromne kręgi, jakby obdarzone własnym żywotem, toczyły się jeszcze przez pewien czas, aż wreszcie i one rozpełzły się

wolno, jakby niechętnie po całym moim neurosystemie.

Wyłączenie bioindykatora oznaczało nie tylko zafundowanie źrenicom wytchnienia; był to jednocześnie sygnał dla tych tam, czuwających nad prawidłowym przebiegiem procesów zachodzących w komorze nadawczej, że przesyłka dotarła już wreszcie pod wskazany adres. I to w nie najgorszym stanie!

Odczekałem jeszcze chwilę, dokładnie tyle, ile rekomendowała instrukcja, a następnie dopomagając sobie obydwoma rękami, z należytą, stosowną do okoliczności ostrożnością wywindowałem się do pozycji stojącej. Gdzieś w łydkach leciuteńko zamrowiło, potem owe mrowienie spłynęło leniwą falą do stóp i wreszcie zupełnie zanikło. Asekurując się oparciem fotela wykonałem dla sprawdzenia swojej aktualnej kondycji trzy ostrożne, niepełne przysiady. Mięśnie zdawały się funkcjonować bez zarzutu, tak jakbym miał za sobą jedynie króciutką, siłodajną drzemkę, a nie osiemnaście lat świetlnych z okładem. Już nawet w ogóle nie wspominając o dokumentnym rozbiciu, a następnie ponownym scaleniu wszystkich bez wyjątku atomów tworzących mój organizm!

W tym momencie w jednej ze ścian bez jakiegokolwiek zwiastuńczego sygnału utworzył się lekko zaokrąglony u góry otwór drzwiowy. Chwilę nastawiałem uszu, lecz nie dobiegł do mnie stamtąd żaden dźwięk. Definitywnie odrywawszy dłonie od oparcia fotela właściwie nie wiadomo dlaczego ruszyłem w stronę drzwi na palcach, zupełnie jak gdybym zapragnął zaskoczyć tam kogoś. Przystąpiłem dość wysoki próg i znalazłem się w obszernym, rzęsiście oświetlonym pomieszczeniu, stając oko w oko z grupką osobników najwyraźniej cierpliwie oczekujących na me pojawienie się.

Gdyby nie te ich podniosłe wyrazy twarzy i dość przewiewne szatki, w niczym nie przypominające używanych przez Federatów ubiorów, zwłaszcza kiedy się wybierali na przechadzkę pod obcymi gwiazdami, niechybnie wziąłbym ich za swoich rodaków, owych genialnych techników, którzy przygotowywali tutaj w trudzie i znoju przyjazny grunt na moje przyjęcie. Rzuciłem tu i tam okiem. W ścianę przylegającą do tylko co opuszczonej przeze mnie kabiny odbiorczej wbudowany był segment typowej aparatury transformacyjnej rodzimej konstrukcji. Zresztą jakaż inna, u diaska, mogłaby ona być, skoro transformerami dysponowała jedynie Federacja, przynajmniej jeśli brać pod uwagę te obszary Przestrzeni, które bądź to już zostały przez nią spenetrowane, bądź co do których dysponowano wystarczająco wiarygodnymi, uzyskanymi w najrozmaitszy sposób informacjami?

Nie dane mi jednak było nazbyt długo kontemplować otoczenie.

– Witaj – odezwał się jeden z mężczyzn płynnym federalnym i z sympatycznym uśmiechem ruszył w moją stronę. Za jego przykładem poszli pozostali, wskutek czego raptem znalazłem się w samym centrum dość ciasnego wianuszka utworzonego z ich ciał. – Bardzo się cieszymy, że już jesteś pośród nas.

– Ja także cieszę się z tego – zapewniłem z powagą. I nie było w tym ni krzty fałszu czy przesady. Wszak znaleźć się na globie zamieszkałym przez istoty tak na oko niczym się nie różniące od nas samych, ludzi, a do tego móc się jeszcze z nimi porozumieć w najnormalniejszy pod słońcem, to znaczy jak człowiek z człowiekiem, sposób, bez tych wszystkich przemyślnych elektronicznych lingwistycznych cacuszek, to

przecież koniec końców nader rzadkie, a jeśli wziąć pod uwagę konkretne okoliczności, uwzględnić, gdzie się znalazłem – wprost graniczące z cudem zdarzenie! Jak bowiem wiadomo z dotychczasowych doświadczeń, Matka Natura co prawda wszędzie tam, gdzie tylko pozwalają jej na to dostępny budulec i czas, niezwykle szczerze powołuje do życia wszelakie organizmy, w tej liczbie także wysokouorganizowane, lecz na ogół wystrzega się przy tym dość skrupulatnie ich powielania. Tak jakby ją to nużyło, jak gdyby pragnęła nade wszystko wypróbować wszystkie dostępne warianty, wykorzystać wszelkie możliwości stwarzane przez niezmierzoną Przestrzeń.

– Jak zniosłeś transmisję? – pytał tymczasem ów mężczyzna z tym samym ciepłym, życzliwym, jakby przylepionym na trwałe do warg uśmiechem.

Przez parę sekund mimowolnie czujnie wsłuchiwałem się w swój organizm. Po niedawnych, zresztą prawdę powiedziawszy nie nazbyt dokuczliwych perturbacjach nie pozostało już nawet najniklejszego śladu: wszystko zdawało się funkcjonować wprost idealnie. Wzruszyłem przeto nonszalancko ramionami.

– Nie mogę specjalnie narzekać.

– To dobrze.

– Też tak myślę – obrzuciłem ostentacyjnie wszystkich dookoła wzrokiem. – A gdzież to nasi technicy?

– Już ich tutaj nie ma.

– Jak to?! – szczerze się zdziwiłem.

– Zrobili to, co do nich należało i nim się jeszcze rozpoczął proces twojej transmisji, udali się w powrotną drogę – wyjaśniono mi.

Kiedy indziej, gdyby mnie dajmy na to powitały jakieś istoty, w których tylko z trudem, być może jedynie na podstawie ich mniej lub bardziej racjonalnych poczynąń potrafiłbym rozpoznać braci po rozumie, tego rodzaju wiadomość wedle wszelkiego prawdopodobieństwa sprawiłaby mi dotkliwą przykrość, poczułbym się wielce zawiedziony, może nawet w jakimś tam sensie oszukany. Teraz jednak, ponieważ otaczały mnie ze wszech miar sympatyczne twarze, żal tylko na moment ścisnął mi leciutko serce i natychmiast rozproszył się bez pozostawienia najniklejszego śladu.

– Czy chciałbyś teraz troszkę wypocząć – po paru sekundach jakby wyczekującego na moją reakcję milczenia zagadnął ten, który zdawał się grać tutaj rolę przewodniczącego owej skromniutkiej powitalnej ekipy – czy wolałbyś raczej od razu przystąpić do realizacji powierzonych ci zadań?

Nie było potrzeby długiego zastanawiania się nad odpowiedzią: przecież dla mnie realizacja zleconej mi misji na dobrą sprawę rozpoczęła się w momencie opuszczenia kabiny odbiorczej transformera, więc jedno drugiemu zupełnie nie przeszkadzało. Wszak z tego, co tam przygotowali na moje przyjęcie, mogłem także wysnuć niejedną ciekawą wniosek, wysmażyć rozmaite, mniej lub bardziej interesujące hipotezy!

– Znajdzie się tutaj dla mnie jakieś locum? – zapytałem raczej pro forma, aniżeli z autentycznej potrzeby, boć przecież to było w gruncie rzeczy samo przez się zrozumiałe.

– Przygotowaliśmy wszystko co trzeba – zapewniono mnie skwapliwie. – W okolicy spokojnej, a zarazem dysponującej dogodnymi warunkami komunikacyjnymi, zgodnie z przedstawionymi przez was życzeniami. Będziesz się mógł stamtąd samodzielnie dostać bez najmniejszych trudności,

dokąd tylko żywnie zapragniesz.

Co do tego życzenia, na które powoływał się mój sympatyczny interlokutor, to w jego formułowaniu ja osobiście rzecz jasna nie partycypowałem w najniklejszym nawet stopniu. Ba, nie miałem pojęcia, że takowe w ogóle postawiono. Ponieważ jednak to co usłyszałem, ze wszech miar mi odpowiadało, przeto skinąłem z ukontentowaniem głową.

– W takim razie od razu udam się do siebie – zdecydowałem.

Mężczyzna nie zmieniając ani na jotę wyrazu twarzy skłonił głowę tak nisko, jak gdyby nagle zapragnął wywiercić sobie brodą dziurę w piersi.

– Będzie, jak sobie życzysz – powiedział; przez chwilę milczał patrząc mi prosto w oczy, a potem dodał: – Zabezpieczyliśmy także dla ciebie przewodnika na czas twojego tutaj pobytu. To jest Moal.

Jeden z otaczających mnie mężczyzn o pociągłej, smągłej, wielce sympatycznej twarzy ozdobionej wyjątkowo dużymi, z lekka, po orientalnemu wydłużonymi oczami ukazał w uśmiechu garnitur równiuteńkich, nieskazitelnie białych zębów i skinął głową, a raczej skłonił ją odrobinę, co spowodowało opadnięcie na czoło kosmyka ciemnych włosów tak połyskujących, jak gdyby dopiero co wypomadowano je nader hojną ręką.

Zastanawiałem się z pięć sekund, jak zareagować na tę propozycję. Wbrew pozorom sprawa wcale nie była błaha! Jeżeli wziąć pod uwagę, że byłem tutaj skazany, przynajmniej jeśli idzie o pierwsze kroki, na poruszanie się w zupełnie obcym mi środowisku, w świecie według wszelkiego prawdopodobieństwa gęsto zjeżonym najrozmaitszymi inżynierskimi

konstrukcjami, a także – co zresztą zwykle, jak już miałem możliwość niejednokrotnie przekonać się na własnej skórze, przysparza największych kłopotów, gdyż jest najtrudniejsze do przeniknięcia i właściwego zrozumienia – wyrosłymi na przestrzeni wieków najróżnorodniejszymi obyczajami, a niekiedy także zwykłymi przesądami, przyjęcie jej bez wątpienia wielce by mi ułatwiło życie. Należało jednak wziąć także pod uwagę drugą stronę tego zagadnienia. Wszak wykorzystując tę moją ignorancję, kompletny brak rozeznania miejscowych warunków, ów oddany do mojej dyspozycji cicerone mógł łącznie tak mnie poprowadzić, w taki sposób ukierunkować moje zainteresowania, iż ani bym się spostrzegł, że wchłaniam jedynie informacje będące z jakiegoś tam względu na rękę autochtonom, ukazujące ich tylko i wyłącznie w korzystnym świetle. Niewykluczone, że w tym konkretnym przypadku moja podejrzliwość nie była uzasadniona, ale tak bardzo się przejąłem samą możliwością zaistnienia czegoś w tym guście, iż o wiele gwałtowniej, aniżeli wymagała tego sytuacja, potrząsnąłem głową.

– Bardzo dziękuję – oświadczyłem z mocą – ale na razie doprawdy nie widzę potrzeby korzystania z takiej formy pomocy! Natomiast byłbym niezmiernie rad – przeniosłem wzrok na owego Meala – gdybyś zechciał mnie tam teraz odprowadzić i powiedzieć, w jaki sposób będę się mógł z tobą skontaktować w razie zaistnienia takiej potrzeby.

– To bardzo proste. Po prostu wywołasz Centralę, która mnie niezwłocznie odszuka.

W parę chwil później pożegnawszy się gestem ręki z pozostałymi, znalazłem się w towarzystwie Moala na zewnątrz Stacji Transmisji. Inauguracyjne zetknięcie się z obcym świa-

tem zawsze jest przeżyciem niezmiernie emocjonującym, dostarczającym najróżnorodniejszych wrażeń, zwłaszcza dla kogoś takiego jak ja, który jak dotąd raczej niewiele miał po temu okazji. Toteż od razu zacząłem się zachłannie rozglądać dokoła, aż mnie od tego wkrótce ociupinkę rozboleła szyja.

Ponad naszymi głowami rozpinał się szczelny, sinorudy, idealnie nieruchomy baldachim utworzony z chmur. Wydawało się, że absolutnie żadne promieniowanie dwóch lokalnych gwiazd nie ma prawa przebić się przezeń, a jednak wokół królowała jasność mogąca z powodzeniem konkurować z najbardziej słonecznym letnim ziemskim dniem. Zaraz jednak spostrzegłem, że oświetlenie owe musi się tutaj kierować nieco innymi prawidłami aniżeli to, do którego przywykłem: nasze sylwetki nie kalały gruntu najniklejszym nawet cieniem!

Stację z jakichś nieznanych mi powodów, zupełnie inaczej aniżeli zwykle miało to miejsce w obrębie Federacji, usytuowano na samym krańcu megapolis, a właściwie już poza nim, najbliższe zabudowania wyżynały się bowiem z miejscami rdzawej, gdzie indziej zaś burej gleby, tu i ówdzie popstrzonej w dodatku, jak gdyby jedynie dla ozdoby, jakimiś srebrzystymi, nieregularnymi nalotami, dopiero w odległości ładnych dwustu metrów. Nie bez kozery odniosłem przy tym wrażenie, że się wyżynają, albowiem ich kształty – niewysokie, niezbyt strome stożki jako żywo przywodzące na myśl kopce termitów – wyraźnie wskazywały na to, że znaczna, jeżeli nie wręcz przeważająca ich część rozpełza się gdzieś w głębi, pod powierzchnią owego łaciatego gruntu, ukryta przed moimi oczami. Opodał, wychodząc gdzieś spod Stacji i następnie wpełzając pomiędzy zabudowania zdające się okupować cały horyzont, drżało i migotało coś, czego z miej-

sca, gdzie w tym momencie stałem, żadną miarą nie byłem w stanie określić, nazwać jakoś, sprecyzować kierunku przemieszczania się, aczkolwiek byłem święcie przekonany, że to „coś” znajduje się w nieustającym ani na moment ruchu.

Zerknąłem przez ramię na Moala, konstatuując, że ten nie spuszcza ze mnie oczu. Tak jakby pragnął wyczytać z mojej twarzy, jakie wrażenie wywarł na mnie ów świat, jego świat, w którym się znalazłem.

– Teraz dokąd? – zapytałem obojętnie, pragnąc dać mu tym do zrozumienia, że ma do czynienia nie z byle kim, lecz z wytrawnym globtroterem, któremu dane było jeść chleb z niejednego już pieca.

Moal dość oszczędnym ruchem podbródka wskazał pasmo zabudowań.

– Tam.

– No to w drogę! – rażno zakomenderowałem.

– Zaczekaj – wystudził mój zapal, zanim wykonałem pierwszy krok. – Twoja kwatera jest zlokalizowana dosyć daleko stąd. Pokonanie tej odległości pieszo zajęłoby nam zbyt dużo czasu. Proponuję, abyśmy skorzystali z energostrady.

Skinąłem głową na znak, że w tym względzie całkowicie i bez reszty poddaję się jego woli. Moal skwitował to niewyraźnym uśmiechem i powiodł mnie ku owej niespokojnej, jak gdyby zawieszanej tuż ponad gruntem nitce, która – kiedy się już do niej przybliżyliśmy – okazała się być wcale nie tak wąska, jak mi się z początku wydawało: liczyła sobie co najmniej pięć metrów szerokości i składała się z jakby dwóch integralnych warstw, z których dolna pełzła niespiesznie w kierunku zabudowań, górna natomiast – w stronę przeciwną. Moal szedł prosto na nią. Wreszcie dał ostatni krok

i znalazł się na warstwie dolnej. Jego nogi odrobinę powyżej kostek jak gdyby się rozmyły, zatraciły ostrość ich kontury.

– Stań za mną – zachęcił, wyciągając ku mnie rękę. Kiedy uczyniłem zadość jego życzeniu, uniósł do oczu lewą dłoń, coś tam pomajstrował przy zdobiącym mu wskazujący palec grubym pierścieniu wykonanym z jakiegoś nieznanego mi, połyskującego pomarańczowo metalu czy też innego tworzywa. I nagle runęliśmy z tak ogromną prędkością do przodu, iż tylko z najwyższym trudem, wczepiwszy się kurczowo obydwiema dłońmi w ramiona swojego przewodnika, zdołałem się uchronić przed ciężkim upadkiem.

W parę chwil później znaleźliśmy się pośród zabudowań. Teraz na tafli nie byliśmy już sami. Nasamprzód z jej bocznych odrosli niemal w dosłownym tego słowa znaczeniu spłynęło kilka osób, a potem ani się spostrzegłem, jak się zacieśnił wokół nas niemały tłumek. Jedni podążali, pozostając w tyle bądź też nas wyprzedzając z różnorodną prędkością, w tym samym co i my kierunku, inni natomiast – a dotyczyło to wyłącznie tych, którzy okupowali wierzchnią warstwę energostrady – pędzili wprost na nas, by – kiedy zderzenie frontalne zdawało się być, przynajmniej według mnie, już nieuniknione – precyzyjnie, nieomal ocierając się o nasze odzienia, nas wyminąć. Odniosłem przy tym wrażenie, że manewr ów jest za każdym razem wykonywany jakby automatycznie, a w każdym razie bez widocznego zaangażowania realizujących go osób.

Po jakimś czasie, kiedy mieliśmy już na swoim koncie kilka ostrych, w moim pojęciu, biorąc pod uwagę prędkość, z jaką się poruszaliśmy, wprost niemożliwych do wzięcia wirazy komicznie wyginających w najrozmaitsze strony całe

moje ciało, tłum zaczął się wyraźnie przerzedzać, aż wreszcie na obydwu taflach znowu zrobiło się zupełnie przestronnie. Widać centrum megapolis pozostawiliśmy już za sobą i przemierzaliśmy obecnie któreś z odległych przedmieści.

W końcu zatrzymaliśmy się przed jedną ze stożkowatych budowli, która nie wyróżniała się niczym szczególnym spośród innych usytuowanych w jej najbliższym sąsiedztwie.

– Jesteśmy na miejscu – poinformował mnie lakonicznie Moal.

Idąc za jego przykładem zlażłem dość niezgrabnie z energostrady. Delikatnie, jakbym bał się go urazić, dotknąłem jego łokcia. Moal spojrzał na mnie pytająco.

– Prędkość regulowałeś tym pierścieniem, prawda? – rzuciłem tylko na poły pytającym tonem.

– Modulatorem – sprostował grzecznie.

– Mniejsza o to, jak się zwie! – uśmiechnąłem się dosyć żałośnie, nazbyt dobrze czułem jeszcze bowiem w kościach te wszystkie zwariowane wygibasy zupełnie niezależne od mojej woli, a tym bardziej – chęci. – Mogę pooglądać?

Miał odpowiedzi Moal wyciągnął ku mnie smukłą dłoń. Pierścień na całej swej zewnętrznej powierzchni poznaczony był drobnymi, nierówno rozłożonymi czarnymi kropczkami, tak jakby dopiero co przemaszerowała po nim mucha cierpiąca na ostrą biegunkę. Nietrudno się było domyśleć, że ten kto rozszyfruje ów wielce skomplikowany wzorek, posiędzie klucz do lokalnych środków lokomocji. Po co jednak miałem sobie samodzielnie łamać nad tym głowę, skoro do mej dyspozycji stał przecież Moal? Poprosiłem go zatem o udzielenie mi stosownych objaśnień. Okazało się, że problem jest daleko mniej skomplikowany, aniżeli się to

na pierwszy rzut oka wydawało: po prostu przysłonięcie paznokciem choćby na moment którejś z kropeczek było równoznaczne z wyborem przypisanej jej prędkości. Przy okazji wyszło także na jaw, że modulator służy nie tylko do regulowania prędkości, ale i do programowania marszruty.

Kiedy znalazłem się już, o ile można to tak ładnie określić, u siebie w domu, skonstatowałem z niemałym zadowoleniem, iż gospodarze nie poskąpili wysiłków dla stworzenia mi godziwych warunków pobytu. Mój wielce sympatyczny cicerone oprowadził mnie po wszystkich kątach, objaśniając cierpliwie, co do czego służy i jak się tym należy posługiwać, aby uzyskać maksymalne efekty. Przyswojenie sobie owej wiedzy nie sprawiło mi zresztą poważniejszych kłopotów, wszystko wydawało się być bowiem swojskie, nieskomplikowane, mniej lub więcej podobne do tego, czym się i ja na co dzień posługiwałem u siebie. Na zakończenie zapytał, czy może jeszcze coś dla mnie uczynić, a otrzymawszy odpowiedź negatywną, jeszcze raz zapewnił, że w każdej chwili jest do moich usług, pożegnał się i ruszył do drzwi.

Znalazłszy się sam, na jakiś czas oddałem się medytacjom, co teraz ze sobą począć, czym się zająć, a ponieważ chwilowo jakoś nic interesującego nie przychodziło mi do głowy, postanowiłem póki co zaaplikować sobie kąpiel.

Kabina sanitarna w odróżnieniu od pomieszczenia mieszkalnego była niewielka; akurat taka, by się mógł w niej zmieścić, i to z pewnym trudem, jeden dorosły człowiek razem ze swoją szczoteczką do zębów. Ściągnawszy kombinezon przestąpiłem niziuteńką barierkę brodzika. Ledwo postawiłem drugą stopę na jego dnie utworzonym z błękitnawych, na poły przezroczystych płytek, gdzieś od sufitu lunęły na

mnie strugi wody rozkosznie ciepłej, znakomicie orzeźwiającej, rozluźniającej wszystkie, nawet te najgłębiej usytuowane mięśnie, w dodatku przesyconej jakimś szczególnym, nie-
możliwym do sprecyzowania, niezmiernie jednak przyjemnym dla moich nozdrzy aromatem.

Wyrzuciłem wysoko w górę ramiona, przeciągnąłem się niczym pieszczotliwie połaskotana po grzbiecie kotka. Taak, zaczynało mi się tutaj zdecydowanie podobać! I pomyśleć, że nie dalej jak wczoraj cała moja przyszłość rysowała się jeszcze w tak ponurych barwach!

No bo jeszcze wczoraj, chyba zresztą o tej samej mniej więcej co i teraz porze, siedziałem w tej swojej iście mikroskopijnej – dwa metry na trzy i pół – klitce, noszącej prawem kaduka pretensjonalną nazwę gabinetu, nie wiedzieć po raz który smętnie analizując wszystkie aspekty swojej aktualnej sytuacji, bezskutecznie usiłując dostrzec na jej zdecydowanie ponurym tle choćby tylko jeden jedyny jaśniejszy punkcik.

O ile reakcja profesora Jańskiego wcale mnie nie zaskoczyła (prawdę powiedziawszy byłbym raczej mocno zdziwiony, gdyby zareagował on inaczej!), o tyle zachowanie się innych napoiło mnie potężną dawką goryczy, niebezpiecznie wstrząsnęło moją wiarą w ludzi, w ich uczciwość, zdolność do bezinteresownej walki o słuszną sprawę. No bo czyż w końcu to nie dla ich dobra, w ich imieniu, więcej – za ich namową, a w każdym razie – pełną aprobatą wygarnąłem na ostatnim dorocznym zebraniu załogi, notabene korzystając z obecności na nim Naczelnego Instytutu, to co ja i inni, czyli mnie podobni szeregowi pracownicy Wydziału myślą o karygodnych praktykach profesora Jańskiego, o tym bezwstydnym, demoralizującym ogół faworyzowaniu przezeń swoich

popleczników, zagarnianiu co ciekawszych, a zwłaszcza co bardziej intratnych zleceń dla siebie i dla swojej swity?

W swej (dziś przyznaję się do tego bez bicia) naiwności byłem najświęciej przekonany, że moje wystąpienie odegra rolę przysłowiowego kija w mrowisku, iż rozpętam nim istną lawinę dalszych, jeszcze ostrzejszych w tonie, obficie naszpikowanych tymi wszystkimi drastycznymi przykładami sobie-państwa, z którymi pchali się przecież – i to zupełnie o to nie proszeni! – do mnie przed zebraniem dosłownie drzwiami i oknami.

Tymczasem kiedy mocno zasapany i leciuteńko wzburzony dobrnąłem do końca, łapczywie chwytając oburącz szklankę z wodą, raptem zapadła martwa, jakby nierealna, nie wróżąca nic dobrego cisza. A potem jak gdyby nigdy nic, jakby do nikogo na tej salce nie dotarło ani jedno słowo z tej mojej płomiennej tyrady, przystąpiono do omawiania ze sztuczną swadą tak zwanych spraw bieżących. Dla podniesienia efektywności badań przydałoby się jeszcze to, nie ma w dostatecznej ilości tego i tamtego, jakoś tego i owego pozostawia jeszcze, niestety, wiele do życzenia, co wpływa zdecydowanie negatywnie na takie i siakie efekty... Nie uszło przy tym mojej uwagi, że w miarę jak wydłużała się moja mina, uśmiech profesora Jańskiego stawał się coraz to szerszy, bardziej promienny...

No cóż, na pocieszenie pozostał mi jedynie fakt, że dosyć szybko pojąłem, iż niczym pierwszy lepszy naiwniaczek, nieopierzony, nie mający jeszcze pojęcia o prawach rządzących w życiu żółtodziób, dałem się wprowadzić w maliny. I że z mojego wystąpienia korzyści będą najprawdopodobniej, przynajmniej przez pewien czas, dopóki nie przyblednie

groźba jakiejś interwencji odgórnej, czerpać inni, podczas gdy ja wszędzie tam, gdzie sięgają dość – niestety! – długie ręce profesora Jańskiego, jestem całkowicie i bez reszty spalony!

Wówczas to z owych raczej nie najweselszych medytacji wyszarpnął mnie nagle brzęczyk wywoławczy wifonu. Drgnąwszy wyciągnąłem pośpiesznie rękę ku jego klawiaturze, lecz w tymże samym momencie przemknęło mi przez głowę, że się pewnie przesłyszałem, iż wziąłem za rzeczywistość pobożne życzenie – od czasu owego pamiętnego dla mnie zebrania nikt przecież do mnie nie zachodził, nie dzwonił, tak jakbym był zapowietrzony, jak gdyby jakimkolwiek kontakt ze mną był rzeczą najbardziej zdrożną z możliwych do pomyślenia – i nie dokończyłem tego gestu. Jednak po paru sekundach napiętego, jakby stężałego w realną, twarłą niczym najprawdziwszy diament substancję oczekiwania brzęczyk ponownie rozorał ciszę. Tym razem nie mogłem już mieć żadnych wątpliwości. Nim zamarł jego dźwięk, dłoń moja niczym chyży jastrząb spadła na właściwy klawisz. Na ekranie ukazał się ten, kogo spodziewałem się w tej chwili najmniej: profesor Jański we własnej osobie!

– Dzień dobry – powiedział jak gdyby nigdy nic, jakby nie dostrzegał osłupienia malującego się na mojej twarzy. – O ile wiem, to obecnie nie ma pan nic szczególnie pilnego na tapecie?

Nie mylił się. Nie mógł się mylić, boć przecież z tydzień temu sam z tym do niego przyszedłem, usilnie dopraszając się przydzielenia mi czegoś odpowiedniego. Wówczas, aczkolwiek w dość uprzejmej formie, może z uwagi na zbliżający się termin zebrania, Jański odprawił mnie z kwitkiem, niemal

ojcowskim tonem zalecając cierpliwość. A dzisiaj do czego zmierza? Odetchnąłem głęboko. No cóż, zważywszy wszystkie okoliczności, nietrudno było udzielić sobie odpowiedzi na to pytanie. Pewnie szukał byle pretekstu do wywalenia mnie na bruk z wilczym biletem!

– Zgadza się – potwierdziłem posępnie, bo właściwie nic innego nie pozostawało mi do zrobienia.

– To doskonale! – ramiona profesora Jańskiego drgnęły w taki sposób, jak gdyby właśnie gdzieś niżej, już poza polem operacyjnym kamery, zacierał radośnie dłonie. – Wobec tego może byłby pan tak uprzejmy i pofatygował się do mnie? Wydaje mi się, że mogę panu zaproponować coś, co winno pana zainteresować.

Kiedy w pięć minut później pełen najczarniejszych przeżyć przekroczyłem próg jego gabinetu, Jański kordialnym gestem wskazał mi fotel usytuowany na wprost jego ogromnego biurka i cierpliwie odczekawszy, póki się w nim nie rozlokuję, rozpoczął tonem i słowami, które w każdej innej sytuacji mogłyby być łącznie poczytane za prolog do szczerej, przyjacielskiej pogawędki:

– A więc, drogi kolego, o ile dobrze zrozumiałem, jest pan spragniony atrakcyjnego tematu dającego szansę całkowicie samodzielnej, koncepcyjnej pracy, umożliwiającej pokazanie nam wszystkim, na co pana faktycznie stać?

Przez chwilę obserwowałem go nieufnie spod przykniętych powiek, lecz z jego gładko wygolonej, powleczonej kurtyną zdawkowego uśmiechu twarzy ani rusz nie mogłem wyczytać, do czego zmierza, jakiego rodzaju gotuje mi niespodziankę.

– Kto nie jest? – burknąłem przeto neutralnie.